

## *O Hohlicku, co ludziom radość darował.*

*Opowieść nie całkiem świńska.*

Burmistrz Friedrich Von Maior kręcił czarny wąs owijając go wokół wskazującego palca prawej dłoni. W lewej trzymał pismo wypełnione tłustym drukiem. Wpatrywał się wnikliwie w oblicza reprezentantów oburzonych mieszkańców Lauenburga, którzy wykładali mu swoje racje. Wdowa Schmidt po każdym wygłoszonym zdaniu kładła rękę na wydatnej piersi okrytej atlasową suknią, żeby wzmocnić wydźwięk własnych słów.

– Rozpasanie jest powszechne, szanowny panie burmistrzu, powszechne! Młodzież nie zna granic. Kłania się brak dobrego wychowania.

– Młodzi urządzają tańce w Domu Rzemiosła i organizują się w tajemnicze grupki – wtórował jej pan Kreutz – Pal licha, gdyby chodziło tylko o chłopców, ale przecież bywają tam też dziewczęta! – Stary krawiec pokręcił głową z niedowierzaniem i przegryzł wargi.

– Ordnung muss sein – odezwał się duchowny Schleiffer – w tygodniu nauki szkolne, a w niedzielę nabożeństwo. W oczekiwaniu na życie wieczne.

Pani Schmidt znów zabrała głos.

– Nie mogę skupić się na pracy. Tak mnie serce boli, gdy myślę, do czego to wszystko prowadzi.

Przecież ja muszę podstemplować z dobrą datą, ja muszę odebrać te listy, ja muszę przekazać te listy, ja muszę wpisać na listę te listy! Niechże pan coś z tym zrobi, kochany panie burmistrzu!

Von Maior przeniósł wzrok na herby zdobiące Salę Rajców. Wiedział, że będzie musiał podjąć trudną, acz niezbędną decyzję, żeby utrzymać jedność miasta, które kochał i którym zarządzał.

Długa tradycja oraz powaga stanowiska, które zajmował, sankcjonowały następne kroki. Burmistrz będzie musiał wydać dekret zakazujący organizowania zabaw, słuchania muzyki oraz wszelkich wygłupów, które nie są związane z pracą i nauką. Dla dobra miasta oraz jego mieszkańców.

\*\*\*

Jegomość w bordowym kapeluszu zadarł głowę i spojrzał na błyszczącą iglicę osadzoną na ażurowej latarni.

– Sztampa. Trzeba coś z tym zrobić – pomyślał, po czym cmoknął, gwizdnął i klepnął oburącz w pośladki.

Na iglicy pojawił się stalowy kogutek.

– Hmm, mogło być lepiej. Wróć do tego jeszcze – powiedział mężczyzna sam do siebie i wszedł zamasytym krokiem do wnętrza ratusza. Burmistrz von Maior zaprosił go do gabinetu i kazał usiąść.

– Co pana do mnie sprowadza? – zapytał i okręcił wąsa wokół palca.

– Nazywam się Hanz Hohlick. Podobno planuje pan zmiany. W zakresie, że tak powiem, ludzkiej uciechy.

Burmistrz zmarszczył groźnie brwi i mruknął niezadowolony. Nie lubił, kiedy jego decyzje wychodziły poza mury ratusza, jeśli nie były ogłaszane przez niego osobiście. A pamiętał doskonale, że przykazał wszystkim współpracownikom, aby jeszcze nie rozmawiali o dekreście z ludnością.

– Kto panu doniósł? Na pewno nikt z moich pracowników, a więc kto?

– Zabraniać ludziom zabawy, to zbrodnia przeogromna – kontynuował Hanz Hohlick – Jak mówi przysłowie: nie ciąży robocza koszula, gdy się dusza wyhula!

– Co pan, nie ma takiego przysłowia – obruszył się burmistrz.

– Nie było, ale właśnie je wymyśliłem, więc już jakby jest – wruszył ramionami Hanz.

– Chwila, jak pan się nazywa? Von Flick? Nie przypominam sobie, żeby na liście mieszkańców było takie nazwisko.

– Hohlick.

– To jeszcze bardziej nic mi nie mówi. Znam wszystkich mieszkańców mojego miasta i wiem, że na liście żadnego Hohlicka nie ma. Dam sobie uciąć rękę, drogi panie! – burmistrz wstał chcąc wyprosić niechcianego gościa za drzwi.

– Ależ jestem głęboko przekonany, że moje nazwisko tam jest. Dokładnie pod pozycją pierwszą.

– Pan jest bezczelny! To moje nazwisko jest pierwsze na liście. Zawsze nazwisko burmistrza jest pierwsze.

Hanz Hohlick wstał, obszedł biurko i otworzył jego górną szufladę.

– Proszę tylko zerknąć.

Urzędnik niechętnie wyciągnął listę i od razu spojrzął na jej górną część. Czarny tusz rzeczywiście układał się w nazwisko Hanza Hohlicka. Burmistrz poczuł przeszywający ból w ramieniu, jakby ktoś ciął je piłą. Na szczęście ręka pozostała na swoim miejscu.

– Nic nie rozumiem – wyszeptał von Maior zbladłymi wargami. Jednak szybko zebrał się w sobie i spojrzął na swojego rozmówcę. – Muszę uszanować wolę mieszkańców. Panna Werner, która jest nauczycielką w żeńskiej szkole, obawia się o dobre prowadzenie uczennic, które podpytują o kroki taneczne, zamiast skupić się na algebrze. Policjant Litzke twierdzi, że coraz więcej chłopców wystaje pod browarem Magdalińskich i liczy na darmowe piwo. A pani Franke ze sklepu kolonialnego zaręcza, że ukradziono jej pięć kilo cukru. Podejrzewa o to dzieci od Schneiderów, bo ostatnio przybrały na wadze.

– Ale żadnych dowodów nie ma?

– No nie ma – zirytował się pan burmistrz. – W każdym razie zdania nie zmienię. Jutro, zanim wyjadę w służbową podróż do Królewca, ogłoszę dekret. W Lauenburgu znów musi zapanować ład. Rzeczywiście następnego dnia o poranku burmistrz wygłosił oświadczenie, w którym opowiedział o konieczności wprowadzenia ograniczeń i surowszego prawa wobec poluzniających się obyczajów. Szczególny nacisk położył na zachowaniu młodzieży, które coraz bardziej nie podobało się starszym mieszkańcom. Hanz Hohlick przyglądał się twarzom zebranych. O ile matrony ochoczo kiwały głowami, a starsi panowie postukiwali aprobująco laskami o ziemię, o tyle na twarzach młodych ludzi zagościł smutek, a w oczach niektórych dziewcząt pojawiły się nawet łzy. Jak żyć bez muzyki? Jak żyć bez śmiechu, tańców i rozrywek? Hohlick spokojnie poczekał, aż ludzie się rozejdą, po czym cmoknął, gwizdnął i klepnął oburącz w pośladki. Na iglicy ratusza pojawił się metalowy prosiak z rozwartym pyskiem, w którym tkwiło jabłko.

– No to będziesz miał ład, panie burmistrzu – powiedział Hohlick i uśmiechnął się złośliwie pod wąsem.

\*\*\*

Friedrich Von Maior czuł się zmęczony po kilku dniach pobytu w Królewcu, dlatego cieszył się, że niedługo będzie mógł odpocząć we własnym burmistrzowym łóżku. Oczywiście był bardzo zadowolony z przyjęcia, jakie mu urządono. Naprawdę był dumny z ustrzelonego przez siebie dzika podczas polowania w tamtejszych lasach. Jeszcze tego samego wieczora mógł skosztować potrawki ze zwierzęcia, którego smak podbił kuflem lokalnego piwa. Podobały mu się występy taneczne młodych panien oraz zapasy młodzieńców, jednak cieszył się, że w Lauenburgu takie rzeczy się nie dzieją. A dzięki dekretowi na pewno jest spokojnie i odpowiednio moralnie. Kiedy zbliżał się powozem do miasta z lubością przyglądał się uprawom chmielu, rozległym polom ziemniaków, a także rysującym się w oddali konturom fabryki zapalek. Lubił wracać do swojego ukochanego miasta. Kiedy pojazd stanął przed ratuszem, burmistrz wysiadł, rozkazał furmanowi wypakować jego torby i skierował się w stronę wejścia. Nagle usłyszał donośny gwizd. Obrócił się zaskoczony i otworzył szeroko oczy. Oto w jego kierunku zmierzał sześciolatek syn policjanta Litzke, który poprawiając sobie ojcowską, za dużą czapkę policyjną, gwizdał na burmistrza. W końcu dziecko wypluło gwizdek z ust i zawołało srogo.

– Tutaj nie wolno się zatrzymywać! Proszę przestawić wóz!

Burmistrz potarł nerwowo czarny wąs, po czym huknął:

– O ty nicponiu! Ojciec wie, że bawisz się jego rzeczami? Czekaj, niech no ja tylko go spotkam, wszystko mu powiem i dostaniesz nauczkę!

– Tata jest w browarze. Może pan tam iść, ale najpierw trzeba przestawić wóz, bo tędy będzie szedł pochód. Powóz zawadza.

– Jaki pochód? Nie wydałem zgody na żaden pochód! – von Maior poczuł, że krople potu wyciekają mu spod kapelusza. Co się tutaj dzieje?

– Pochód na cześć króla chmielu Gambrynusa. No niech pan przestawi ten powóz, bo w przeciwnym razie będę musiał go zarekwizować.

Burmistrz nie pytał już o nic więcej. Rzucił się biegiem do browaru Magdalińskich i zupełnie nie przejmował się tym, że urzędnikowi nie wypada tak przebierać nogami po mieście. Szybko dotarł do budynku, z którego rozlegała się głośna muzyka akordeonu. W środku policjant Litzke ubrany w krótkie brązowe spodnie i białą koszulę roznosił litrowe kufle z piwem i rozdawał je biesiadnikom. Zaśmiewał się do łez z przyśpiewek, które niskim głosem intonował duchowny Schleiffer. To właśnie on naciskał na klawisze akordeonu i rozciągał instrument na wszystkie strony, wydobywając z niego radosne dźwięki.

– Co jest do cholery – wyszeptał burmistrz nie wierząc własnym oczom.

– Jedno piwo, drugie piwo, dziś zebrałem chmielu żniwo – śpiewał duchowny – tylko kufel, żadna szklanka, piwo to nie je maślanka!

– Panie burmistrzu, zapraszamy do nas, o tutaj jest miejsce – zawołała panna Werner, która siedziała otoczona roześmianymi uczennicami. Krawiec Kreutz brał właśnie miarę z dziewczyny, której obiecał piękną balową suknię. Właściwie obiecał nowe sukienki każdej pannie w mieście, w tym nauczycielce. Miał zamiar wybrać się wkrótce do Paryża, żeby zapoznać się z najnowszymi trendami damskiej mody. Von Maior z okrzykiem przerażenia wybiegł z browaru. Musiał natychmiast znaleźć panią Schmidt. Tylko w niej nadzieja w doprowadzeniu sytuacji do porządku. Trzeba skończyć z tym szaleństwem! Kiedy wbiegał po schodach poczty, rzucił okiem na budynek ratusza.

– Co to za świnia siedzi na wierzchołku wieży?! – krzyknął i aż przykucnął z wrażenia. Tego było za wiele na jego słabe serce – A może to dzik? – zaczął się zastanawiać – duch dzika, którego ustrzeżiłem... Nie, nie, nie, muszę się uspokoić – wstał i delikatnie pchnął pocztowe drzwi. Za ladą siedziały dzieci Schneiderów i stemplowały papierowe spisy mieszkańców z ostatnich dwudziestu lat. Burmistrz przełknął ślinę i zapytał najbardziej spokojnie, jak to możliwe, o panią Schmidt.

– Jest w sklepie pani Franke – odpowiedziały dzieci i uśmiechnęły się szeroko, a w ich pulchnych policzkach ukazały się dołeczki.

– Dziękuję za informację – von Maior ukłonił się nisko i ucałował kilkuletnią Gretę Schneider w rękę. Sam nie wiedział, jak się zachować. Tak bardzo bolała go głowa. Już wychodził z poczty, ale wrócił jeszcze, aby uścisnąć dłoń dwuletniego Franza Schneidera. Na wszelki wypadek. Kiedy wszedł do sklepu spożywczego, stanął w lekkim rozkroku i pokiwał głową z politowaniem.

– Zawsze wiedziałem, że samowola kobiet musi wiązać się ze słodyczami – chciał tylko pomyśleć, ale jego usta wypowiedziały to na głos. Panie Franke i Schmidt opychały się kostkami cukru, odziane w luźne podomki. Gryzły słodkie bryłki, głaszcząc się z przyjemnością po brzuchach.

– Powinien pan tego spróbować, kochany panie – roześmiała się przekupka – Cukier naprawdę osładza życie.

Burmistrz zrezygnowany wyszedł ze sklepu i przeszedł na rynek. Patrzył na mieszkańców Lauenburga, którzy przez trzy dni zmienili się nie do poznania. Roześmiani tańczyli na ulicy, objadali się kielbasą i opijali piwem. Oddawali cześć kukle zrobionej z gazet i szmat, która miała reprezentować Gambrynusa. Młodzieńcy w rozchełstanych koszulach zagadywali panny, które nawet się nie rumieniły. Starsze damy płały w rozpuszczonych włosach, mężatki siłowały się na rękę, panowie rozgrywali mecz piłki nożnej, a dzieci starały się pilnować jako takiego porządku, kierując ruchem drogowym. Nagle burmistrz zauważył Hanza Hohlicka, który przyglądał się mu z niewielkiej odległości.

– To wszystko pana sprawka, prawda? – zapytał von Maior.

– Jak panu to się podoba?

– Mnie niezbyt, ale im – burmistrz wskazał podbródkiem na mieszkańców – najwyraźniej tak.

– Uważam, że to całkiem przyjemny widok. Jak mówiłem – nie można ludziom zabronić radości.

– A może zawrzemy ugodę? Ja obiecuję, że będę organizował w Lauenburgu zabawy, jarmarki i tańce, a pan sprawi, że ludzie powrócą do pracy i nauki?

– Mogę na to przystać – uśmiechnął się Hanz – Ale jeśli kiedyś jeszcze komuś przyjdzie do głowy podobny pomysł, jak ten nieszczęsny dekret, znów się pojawię i zarządzę zabawę do końca świata. Tymczasem niech pan porządnie się wyspi.

Burmistrz ze spuszczoną głową powlókł się w kierunku swojego domu. Dopiero teraz dobitnie odczuł ciężar emocji, jakie dostarczyły mu ostatnie godziny. Zanim zniknął za rogiem, odwrócił się i krzyknął do dziwnego jegomościa w bordowym kapeluszu:

– Panie Hohlick, i weź pan usuń tę świnię z iglicy mojego ratusza. Błagam.

Hanz cmoknął, gwizdnął i klepnął oburącz w pośladki, a proszę z jabłkiem rozpląnęło się w powietrzu.